

**W 80. ROCZNICĘ
PRZYBYCIA PIONIERÓW**

Stowarzyszenie „Srebrne Marzenia” przedstawiło młodzieży licealnej program o pierwszych osadnikach

s. 7

**W POLITYCE
ROZSĄDEK NIE OBOWIĄZUJE**

Według Krzysztofa Daukszewicza prezes PiS kocha tych, co kochają pieniądze, bo za szmal zrobią wszystko

s. 12

**PROWADZIŁA PROGRAM
W AMERYKAŃSKIEJ TV**

Kasia Leśniowska przeżyła niebywałą przygodę w Nowym Jorku, występując w porannym programie NBC

s. 14

**JAK TO Z MNIEJSZOŚCIĄ
NIEMIECKĄ BYŁO**

Wiktor Marek Leyk opisuje początki działalności stowarzyszeń mniejszości narodowych w naszym regionie

s. 18

EBZEMPLARZ BEZPŁATNY

DZIENNIKARZ OLSZTYŃSKI

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYSPOLITEJ POLSKIEJ ODDZIAŁ W OLSZTYNIE

KWARTALNIK NR 1-2/2025



200 LAT, ELU!

3 str. Taki jubileusz nieczęsto się zdarza. Elżbieta Szewczenko-Rybak, była zastępczyni redaktora naczelnego „Gazety Olsztyńskiej”, świętowała 90. urodziny w gronie przyjaciół z warmińsko-mazurskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. Były kwiaty, życzenia i mnóstwo pięknych wspomnień.

Powiedzmy prawdę: sytuacja finansowa naszego oddziału nie pozwala nam na regularne wydawanie kwartalnika, bo praktycznie utrzymujemy się tylko ze składek członkowskich. Sporadycznie znajdzie się jakiś szlachetny przedsiębiorca, który – zwykle po koleżeńsku – dorzuci parę złotych do działalności Stowarzyszenia, lecz przeważnie jest to pomoc przy organizacji naszego sztandarowego przedsięwzięcia – Nagrody im. Henryka Panasa. I za to również jesteśmy wdzięczni. Niemniej za samo przygotowanie i wydanie papierowe „Dziennikarza Olsztyńskiego” musimy płacić coraz więcej, a dochodzą tzw. niespodziewane wydatki, dobrze, jeśli tylko na bukiet kwiatów z okazji urodzin.

Takie radosne rocznice urodzin naszych członków obchodziliśmy w ostatnim czasie. Pierwszą była, aż trudno uwierzyć, dziewięćdziesiątka wiecznie młodej Elżbiety Szewczenko-Rybak, która z prasą olsztyńską związana jest od 1956 roku. Jej życiorys streszczamy w głównym tekście numeru, przypominając, że do 1990 roku pełniła obowiązki zastępcy redaktora naczelnego „Gazety Olsztyńskiej”. Tego samego tytułu, który ukazuje się do dzisiaj, ale różnica między tamtą GO a dzisiejszą jest taka jak między niedźwiedziem a lisem, przy czym ten lisek nadal próbuje przekonywać, zwłaszcza reklamodawców, że wydaje ważną dla regionu gazetę. Przy średniej sprzedaży wydań papierowych w wysokości 1300 egzemplarzy! Tyle schodziło dziennie na koniec zeszłego roku, ale przy spadku rok do roku o ponad 50 proc. można się spodziewać, że ta wielkość nie przekracza już tysiąca. Na całe województwo! No, ale to już nie nasze smartwienie.

Sytuacja prasy w dzisiejszym świecie, nie tylko w Polsce, jest coraz trudniejsza. Wynika to głównie z ekspansji internetu i wszechobecnych social mediów, które stały się źródłem wiedzy i kanałem komunikacji między ludźmi. Z czego najbardziej cieszy się np. Elon Musk, właściciel platformy X i przyjaciel Donalda Trumpa. A ten to drugi oryginał! Właśnie o relacjach aktualnego prezydenta USA z Putinem pisze na naszych łamach Waław Radziwinowicz, wybitny ekspert w sprawach rosyjskich (ale był też na stażu dziennikarskim w Stanach), laureat III edycji Nagrody im. Henryka Panasa. Dodajmy, że w I edycji statuetkę z wizerunkiem Panasa dostał Krzysztof Daukszewicz, w II – Aleksander Kwaśniewski, a w IV – Wiktor Marek Leyk. Kto otrzymała nagrodę w V edycji? Też chciałbym to wiedzieć, lecz nie mogę wyręczać Kapituły składającej się z 11 osób. Na razie chcemy przygotować nominacje w imieniu całego oddziału SD RP, ale także członków oddziału Związku Literatów Polskich, z którymi planujemy w maju wspólne „spotkanie integracyjne” w Gietrzwałdzie. W każdym razie ważne jest tegoroczne ustalenie organizatorów Nagrody Panasa – musi ona trafić w ręce LAUREAT-KI! Kto nią zostanie, przekonamy się – jak zwykle – na gali w sali kopernikowskiej zamku Kapituły Warmińskiej, ale dopiero jesienią.

Ważną pozycją bieżącego numeru jest akcent pionierski. Oto obchodzimy 80-lecie przybycia pierwszych osadników na ziemię byłych Prus Wschodnich, na których tworzyli zręby polskiej państwowości. Nie możemy o nich zapominać, zwłaszcza gdy na te wydarzenia z przeszłości uczuła nas zmarły rok temu Feliks Walichnowski. On też miał w życiorysie doświadczenie pionierskie, gdy w 1945 roku przyjechał do Olsztyna jako szesnastolatek. Ale nie zabraknie w tym numerze wątków współczesnych, w tym relacji naszej koleżanki z wizyty w nowojorskiej stacji telewizyjnej oraz opowieści o tym, na czym polega joga świadomości. Zachęcam do lektury

Redaktor naczelny
Marek Książek



Dziennikarz Olsztyński

ADRES REDAKCJI: 10-687 Olsztyn, ul. Hanowskiego 3 lok. 6
REDAGUJE: Marek Książek z kolegium w składzie: Elżbieta Szewczenko-Rybak, Katarzyna Leśniowska, Jerzy Sałata, Zdzisław Szymocha



E-MAIL: sdrp.olsztyn@wp.pl
FACEBOOK: Stowarzyszenie Dziennikarzy RP Olsztyn
KONTO: BS Szczytno 79 8838 0005 2017 0901 0717 0001

ŚWIĘTOWALIŚMY ROCZNICE W PRZYJAZNYM GRONIE

Urodziny mają do siebie, że obchodzi się je co roku, ale tylko niektóre są wyjątkowe, więc traktujemy je w sposób szczególny. A tym bardziej gdy solenizant przekroczy dostojne 90 lat!



W rodzinnym gronie. Jubilatka z bukietem w środku

Właśnie taki jubileusz świętowaliśmy podczas zebrania marcowego naszego oddziału SD RP, gdy składaliśmy życzenia Eli Szewczenko-Rybak z okazji 90. urodzin, które przypadają dwa tygodnie wcześniej. Nasza Ela przyjechała prosto z Domu Opieki i Domu Pomocy Społecznej „Laurentius”, gdzie całkiem niedawno rzuciły ją życiowe losy i gdzie może czuć się bezpiecznie, a jeszcze sama zaopiekowała się niesprawną współlokatorką z pokoju. Ustaliła to delegacja w składzie: Basia Lewandowska, Andrzej Sanecki i Marek Książek, która odwiedziła Elżbietę w przeddzień świąt Bożego Narodzenia 2024. Co znaczy, że nasza Seniorka dobrze sobie tam radzi.

Elżbieta urodziła się 11 lutego 1935 roku w Warszawie jako trzecia córka Marii i Stanisława Szewczenków. Jak sama napisała w książce „Moje 85”, a więc wydanej pięć lat

temu, niewiele pamięta z warszawskiego mieszkania, bo już trzy lata później rodzina przeprowadziła się do Milanówka. Tam właśnie miała Ela obserwować wybuch wojny, już bez ojca, który – jako legionista z wojny polsko-bolszewickiej – udał się do swojego pułku w stolicy. Ale pociągi już nie kursowały normalnie, więc nie zdążył na czas, by po jakimś czasie, mocno wychudzony, dołączyć do reszty rodziny. Podczas okupacji, wzorem starszych sióstr, Ela zaczęła naukę – jako sześciolatka – na tajnych kompletach, czyli w domu.

Po burzliwych przeżyciach wojennych, o których opowiada Jubilatka w autobiograficznej opowieści, nadszedł czas pokoju i poszukiwanie nowego miejsca w życiu. Zniszczona Warszawa nie nadawała się na normalne życie, więc Stanisław Szewczenko wyjechał „na jakieś Ziemie Odzyskane”, konkretnie do Wielbarka, gdzie tworzył

komórki spółdzielczości. Później ściągnął tam rodzinę, a po pewnym czasie była przeprowadzka do Szczytna. Wreszcie – za namową redaktora „Wiadomości Mazurskich” Włodzimierza Mroczkowskiego zatrzymali się na stałe w Olsztynie. Pan Stanisław pracował tu w Polskich Zakładach Zbożowych, organizował i dyktował Centrali Chemicznej, potem był oddział „Ruchu” i w końcu Olsztyńskie Wydawnictwo Prasowe, którego został dyrektorem. Ela opisała ten okres w tekście zamieszczonym w książce „Czas pionierów”, będącej plonem konkursu olsztyńskiego oddziału SD RP na wspomnienia o pierwszych osadnikach na Warmii i Mazurach (wydaliśmy ją wspólnie z Warmińsko-Mazurskim Stowarzyszeniem Osób Niepełnosprawnych w 2020 roku).

Tak się złożyło, że Ela Szewczenko po liceum i studiach dziennikarskich na Uni-



Delegacja oddziału SDRP u Elżbiety w DPS „Laurentius”

FOT. ARCHIWUM PRYWNE

wersytecie Warszawskim również do OWP trafiła, konkretnie do „Głosu Olsztyńskiego”. Był rok 1956, a więc polityczna odwilż. Młoda dziennikarka zaczęła od działu terenowego, by po jakimś czasie zostać sekretarzem redakcji, a wreszcie zastępcą redaktora naczelnego „Gazety Olsztyńskiej” i w takim „stopniu” przeszła na emeryturę w 1990 roku. Tak jak jej odpowiednik na tym samym stanowisku Roman Wachowicz, z którym równocześnie zaczęła pracę w „Głosie”. Wkrótce wyszła za męża za innego redakcyjnego kolegę – Witolda Rybaka. Poznali się jeszcze na studiach i już wtedy widziano w nich parę, co sformalizowali aktem małżeńskim w Olsztynie. Witek po okresie pracy w „Głosie” został szefem Radia Olsztyn (zmarł w 2011). Z tego związku narodził się im syn Tomek, dziś już dojrzały mężczyzna, od pewnego czasu razem ze swoją rodziną mieszkający w USA, choć z mamą ma codzienny kontakt telefoniczny lub za pośrednictwem innych komunikatorów, a i do Olsztyna wpada regularnie.

Podczas marcowego spotkania U Artystów były gratulacje, życzenia, chóralne „200 lat!”, wspomnienia i symboliczna lampka szampana. List z życzeniami przesłał jubilatce Jerzy Domański, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy RP i redaktor naczelny tygodnika „Przegląd” w jednej osobie. W imieniu Łukasza Łukaszewskiego, przewodniczącego Rady Miasta, bukiet kwiatów i życzenia przekazała Eli olsztyńska radna Halina Ciunel. Elżbieta zadziwia swoją żywotnością fizyczną i sprawnością intelektualną. Komputer to dla niej żadna tajemnica, potrafi korzystać z nowoczesnych technologii, także w kontaktach z liczną rodziną. Zdecydowała się osiąść w „Laurentiusie”, by czuć się bezpieczniej, niż w mieszkaniu przy ul. Dworcowej, gdzie mieszkała samotnie. W towarzystwie zawsze raźniej!

FOT. ANDRZEJ SZRAMEK



Basia wręcza bukiet kwiatów swojej przyjaciółce

Dodajmy, że w naszym oddziale mamy już trójkę seniorów; poza Elą są to Czesław Pazera (rocznik 1932) i Zbigniew Bielewicz (rocznik 1934). Byłaby czwórka, ale rok temu zmarł Feliks Walichnowski (rocznik 1929).

Tego dnia, również podczas zebrania 4 marca, świętowaliśmy także 75. urodziny naszego kolegi Zdzisława Szymochy, wieloletniego dziennikarza, redaktora naczelnego „Gazety Olsztyńskiej” w latach 1996-2000. Z wykształcenia weterynarz, który po okresie pracy w tym zawodzie skręcił w stronę mediów, zaczynając w prasie od barwnych felietonów przyrodniczych. W 1983 r. został dziennikarzem „GO”, zajmo-

FOT. ANDRZEJ SZRAMEK



Radna Halina Ciunel składa życzenia od mieszkańców Olsztyna



Trójca (prawie) święta. Od lewej: Zdzisław Szymocha, Elżbieta Rybak i Czesław Pazera

wał się tematami rolniczymi, ale również skomplikowanymi losami rodowitych Mazurów i Warmiaków, jakby nawiązując do opowiadań na ten temat Henryka Panasa czy reportaży Tadeusza Willana, szefa olsztyńskiego oddziału SD RP w latach 2000-2017. Po transformacji ustrojowej i gospodarczej Zdzisław przejął stery gazety po Czesławie Pazerze (1977-1990) i Tomaszu Śrutkowskim (1990-1995), a przed Robertem Sakowskim i innymi. Można tylko dodać, że w ostatnich latach ten zasłużony dla regionu tytuł sukcesywnie zjeżdżał po równi pochyłej, osiągając na koniec zeszłego roku sprzedaż w wysokości – uwaga! – 1300 egzemplarzy! Na całe województwo! Oczywiście to nie tylko „zasługa” kolejnych redaktorów i zmian właścicielskich, ale głównie inwazji mediów elektronicznych, lecz szkoda dorobku dziennikarzy i pracowników z lat poprzednich, gdy weekendowa „GO” rozchodziła się w nakładzie 120 tys. egzemplarzy! Ale to se ne vrati...

Jedną z osób, która na całe dekady związała się z redakcją „Gazety Olsztyńskiej”, jest Basia Lewandowska, kolejna nasza solenizantka, która obchodziła 75. urodziny 6 kwietnia, ale kilka dni wcześniej świętowaliśmy tę „półokrągłą” rocznicę na comie-



Basia Lewandowska z laurką od przyjaciół

sięcznym zebraniu naszego oddziału SD RP. Basia w 1972 roku zaczęła pracę w Olsztyńskim Wydawnictwie Prasowym, najpierw jako sekretarka dyrektora, by później zostać kadrową OWP, ale w w 1984 roku przeszła do redakcji, do działu łączności z czytelnikami „GO”, którym kierował niezapomniany

Stanisław Protakiewicz. Tak więc Basia znała osobiście nie tylko wszystkich dziennikarzy, ale również wielu czytelników, a niektórych nawet kojarzyła w parę, prowadząc towarzyską rubrykę „Poznajmy się”. Ad multus annos, Przyjaciele!

Redaktor

WSPOMINAMY KOLEGÓW, KTÓRZY ODESZLI WIOSNĄ

Wiosną tego roku nie przypadają okrągłe rocznice ich śmierci, niemniej odchodzili w okresie, gdy przyroda budziła się do życia. Oto krótkie wspomnienia o naszych kolegach.



Witold Rybak

zmarł 22 marca 2011 roku w wieku 78 lat. Skończył dziennikarstwo w Warszawie, a do Olsztyna przyjechał w 1956 roku, razem z Elą Szewczenko – swoją późniejszą żoną – i oboje zaczęli pracować w redakcji „Głosu Olsztyńskiego”. Po dziesięciu latach Witek przeszedł do Rozgłośni Polskiego Radia w Olsztynie, pełniąc tam funkcję zastępcy redaktora naczelnego, a od 1981 roku – głównego szefa Radia Olsztyn, którym był do 1990, by po trzech kolejnych latach przejść na emeryturę. Był jednym z tych, którzy pełnili funkcje z wyboru we władzach Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, a potem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.



Tadeusz Willan

najdłużej panujący prezes olsztyńskiego oddziału naszego Stowarzyszenia, którym był całe 17 lat! Praktycznie do końca swoich dni oznaczonych datą 17 kwietnia 2018 roku. Miał wówczas 86 lat, a jego dużą jak na ten wiek aktywność przerwała groźna i długa choroba. Został pochowany w Krutyni, wsi na Mazurach, gdzie się urodził. Jako dziennikarz, w tym redaktor naczelny pisma „Warmia i Mazury” miał na swoim koncie wiele interesujących i społecznie ważnych reportaży, a także tłumaczeń z literatury niemieckiej, a działał nie tylko w SD RP, bo był założycielem Stowarzyszenia Mazurskiego i redaktorem „Masurische Storchenpost” („Mazurskiej Poczty Bocianie”).



Henryk Leśniowski

odszedł od nas niespodziewanie 4 maja 2019 roku w wieku 82 lat. Historyk, dziennikarz, pisarz i wydawca, a do tego harcerz i to wysokiego szczebla – w latach 1970-1975 komendant Chorągwi ZHP im. Grunwaldu, a wcześniej wiceszef Operacji 1001 Frombork, której celem była odbudowa zrujnowanego miasteczka, miejsca pochówku Kopernika. Do dziennikarstwa etatowego przeszedł w 1976 roku, pracując do 1990 roku w „Gazecie Olsztyńskiej”, a potem w „Kormoranie”. Autor książek historycznych (w tym o Grunwaldzie) oraz na tematy związane z ukochanym harcerstwem. W SD RP był wiceprzewodniczącym oddziału olsztyńskiego.



Feliks Walichnowski

zmarł 2 kwietnia 2024 roku w wieku ponad 94 lat! Był nestorem oddziału SD RP w Olsztynie, do którego to miasta nad Łyną zjechał z Warszawy z pierwszą grupą pionierów jako szesnastolatek. W swojej karierze zawodowej był m.in. redaktorem naczelnym ogólnopolskiej „Panoramy Północy”, a w naszym Stowarzyszeniu – pielęgnował pamięć o pierwszych osadnikach, którzy po wojnie tworzyli na ziemiach byłych Prus Wschodnich podwaliny państwa polskiego. Wiele pisał na temat powojennych lat na Warmii i Mazurach, wydając ponad setkę mniejszych i większych publikacji.

Pozostaniecie, Przyjaciele, na zawsze w naszej pamięci.

Kronikarz

TESTAMENT FELA W 80. ROCZNICĘ PRZYBYCIA PIONIERÓW

Rok temu na pogrzebie Feliksa Walichnowskiego zobowiązaliśmy się do kontynuacji Jego misji pielęgnowania pamięci o pierwszych osadnikach w naszym regionie. I słowa dotrzymujemy.



„Srebrne Marzenia”. Od lewej: Helena Piotrowska, Hanna Fogel, Waldemar Chrzanowski

Redaktor Walichnowski, jeden z najmłodszych pionierów, który jako szesnastolatek przybył z Warszawy do Olsztyna, a potem do Ostródy w marcu 1945 roku, bardzo zabiegał, aby pamiętać o początkach państwowości polskiej w byłych Prusach Wschodnich. Pilnował tego do ostatnich chwil swego 94-letniego życia, planując cykl spotkań na ten temat z młodzieżą szkolną.

Nie zdążył tych planów zrealizować, ale jako oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy RP kontynuujemy Jego dzieło, można powiedzieć – realizujemy testament Fela, jak Redaktor był nazywany. Jest to możliwe dzięki współpracy SD RP ze Stowarzyszeniem „Srebrne Marzenia”, łącznikiem której jest Helena Piotrowska, członkini naszego oddziału i „Srebrnych Marzeń” kierowanych przez Waldemara Chrzanow-

skiego, który z Heleną i Hanną Fogel przygotował specjalny program poświęcony pionierom.

Premiera programu pod nazwą „Na skrawku ziemi” miała miejsce 28 lutego 2025 roku w V Liceum Ogólnokształcącym im. Wspólnej Europy w Olsztynie. Spektakl upamiętniał zasiedlenie opuszczonych przez Niemców, a przejętych przez Polaków ziem dotychczasowych Prus Wschodnich. Zaczął się od przedstawienia atmosfery z końca II wojny światowej, kiedy ogromne masy ludzi przemieszczały się z naszego regionu do Niemiec, a w ich miejsce przybywali osadnicy z Kresów Wschodnich, z centralnej Polski, z Kurpi, ale też z Zachodu Europy. Powszechny był widok ludzi z tobołkami i zapakowanymi wózkami czy ładujących dobytek do wagonów. Wszyscy opuszczali swoje gniazda w poszukiwaniu bezpiecznego skrawka ziemi; stąd taki tytuł programu „Na skrawku ziemi”.

Mówiliśmy o chaosie, trudnościach i wszelkich zabiegach, i z urzędu, i tych oddolnych, by to życie ułatwić, bo miasto się zapełniało; przybywały grupy kolejarzy, lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli i przedstawicieli różnych innych zawodów. Pełne ręce roboty miały PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny) i Urząd Ziemski. Wszystkiemu starano się zaradzić, a łatwo nie było – ani o czystą wodę pitną, ani o zaopatrzenie w żywność czy środki czystości. Wszystkie artykuły były reglamentowane.

Tak się składa, że o kilku dziedzinach powojennego życia piszę w swoich książkach, dlatego też omawianie poszczególnej aktywności pionierów, w tym na niwie kulturalnej, oświatowej i sportowej, opierałam na przykładzie biografii muzealnika Hieronima Skurpskiego, rekonstruktorce dywanów mazurskich Barbary Hulanickiej czy trenera Mariana Rapackiego. Hanna Fogel przedstawiała swoje utwory poetyckie,



FOT. ZOFIA ROMANOWSKA

Szkolna widownia miała okazję poznać historię olsztyńskich pionierów



FOT. ZOFIA ROMANOWSKA

Pamiętkowe zdjęcie z dyrektorką V LO Anną Struk w środku

a Waldemar Chrzanowski zaśpiewał przy gitarze tematyczne pieśni, w tym kultową balladę „Nim wstanie dzień” z filmu „Prawo i pięść”.

Jako że pomysł stworzenia programu w 80-lecie zagospodarowania regionu padł z ust pioniera Feliksa Walichnowskiego, będącego wówczas członkiem SDRP, stowarzyszenie to reprezentował, oglądając nas z widowni, Marek Książek, przewodniczący oddziału SD RP. Po spektaklu, już wspólnie

z dyrektorką „piątki” Anną Struk, spotkaliśmy się w jej gabinecie, omawiając wrażenia i snując plany na przyszłość.

Ten sam program zaprezentowaliśmy niemal miesiąc później w Zespole Szkół Elektronicznych i Telekomunikacyjnych, gdzie dyrektorem jest Grzegorz Górski. Tym razem widownia na sali była zdecydowanie męska, bo taki profil placówki bardziej przyciąga chłopców. Ale podobnie jak w V LO uczniowie w skupieniu i powadze wy-

słuchali opowieści o tym, jak pokolenie ich pradziadków zasiedlało ziemie naszego regionu.

Szczególne podziękowania składam Zofii Romanowskiej, która nie tylko dokumentowała nasze prezentacje w obu szkołach, ale i dowoziła nas – łącznie z niezbędnym sprzętem – swoim samochodem do miejsca przeznaczenia.

Helena Piotrowska

TAKIE BYŁY POCZĄTKI W ZRUJNOWANYM MIEŚCIE

Prezentujemy fragmenty reportażu naszej koleżanki o pierwszych osadnikach w regionie nawiązującym do „Ziemi odnalezionych przeznaczeń” Władysława Ogrodzińskiego.

W odróżnieniu od wiekowych rozłożystych dębów, lip, kasztanowców, wędrownych ptaków w styczniu 1945 tu nie było.

Warmię siarczysty mróz skuł lodem, a mieszkańców paraliżował strach przed zbliżającą się Armią Czerwoną; po tym, czego dokonała 21 stycznia w Nidzicy, nie mieli wątpliwości, jak zostają potraktowani. Popłoch i płacz, i ścisk na drogach, i furmanki z budami leżące na poboczu, to efekt zbyt późno wydanego przez Ericha Kocho, gauleitera Prus Wschodnich, rozkazu o ewakuacji ludności cywilnej. W wyniku „Wielkiej ucieczki” na Zachód półmilionowa rzesza poniosła śmierć w drodze przez zabicie, zamrożenie, utonięcie w Zalewie Wiślanym bądź w swoim środowisku, gdzie wpadała w ręce żądnej zemsty za zbrodnie hitlerowskie drugiej linii czerwoonoarmistów. Z 2,3 miliona mieszkańców Prus Wschodnich 1,4 miliona udało się uciec na zachód, a z 400 tysięcy tych, co pozostali w regionie, 70 tysięcy osób deportowali do łagrow.

Paradoksalnie, nie działania frontowe, a bombardowania, gąsienice czołgów i ogień przyniosły w skutkach 40-procentowe zniszczenie zabudowy 45-tysięcznego Allenstein. Sowieci zdobyli je, mordując, gwałcąc, grabiąc mienie: oddziały specjalne wywoziły na wschód tory kolejowe, parowozy, tabor kolejowy i pływający, obrabiarki, kotły i turbiny z elektrowni. Sowiecka komendantura zarządzała miastem i okręgiem dopóty, dopóki 30 marca nie przybyła grupa pełnomocnika rządu na Okręg Mazurski Jakuba Prawina, z Jerzym Burskim i Hieronimem Skurpskim i nie nastąpiło, 23 maja 1945 roku, oficjalne przekazanie władzy. Ale rabunek mienia trwał do sierpnia. Im więcej Sowieci wywieźli, tym mniej i w gorszym stanie zostało dla tych, których rzekomo oswobodzili i tych, którzy mieli tu osiaść [...]

Niczym serce na pół, Olsztyn przecina nurt Łyny, miejsce odpoczynku w parku przy



Tak wyglądał Olsztyn zaraz po II wojnie światowej

Moście Jana, arena zimowego treningu kajakarzy i szlak spływów kajakowych, cel szkolnych wycieczek z tradycyjnym topieniem Marzanny [...] Łyna za nic ma problemy współczesnego człowieka, oby tylko nie zanieczyszczał jej wód... Jak wtedy, w 1945, kiedy w odpowiedzi na apel władz o zasiedlanie i odbudowę byłych Prus Wschodnich, perspektyw szukali tu osadnicy z Kurpi, Mazowsza, Podlasia, Rzeszowszczyzny i przybywały kompanie Wojska Polskiego, które rozsyłano w teren do zarządzania majątkami pojunkierskimi. Za miejsce swego przeznaczenia obrały je pionierskie grupy kolejarzy, energetyków, drukarzy, budowniczych. Bliskich odnajdywali byli żołnierze Andersa, armii Berlinga i ci z RAF, i ci z AK, i ci, co uratowali się z Powstania Warszawskiego i ci, co stamtąd trafili do oflagów bądź pracy przymusowej w Niemczech i Austrii. Przyjeżdżali zwolnieni z rosyjskich łagrow w ramach amnestii, a także więźniowie obozów koncentracyjnych i robotnicy przymusowi w niemieckich obozach pracy, rozsianych po Polsce.

Sukcesywnie powoływano w Olsztynie przeróżne związki kombatanckie i związki byłych więźniów politycznych..

Pierwsze chwile na tej ziemi są pełne niepokoju i nieoczekiwanych komplikacji. Mówi pogranicze, mówi kraj, mówią ruiny, mówią ludzie, a każde zdanie jest problemem – zauważa autor „Ziemi odnalezionych przeznaczeń” i z goryczą konstatuje: Mazury i Warmia nie są dziś miejscem niefrasobliwego obcowania z ludźmi i malowaną z prasowego reportażu. Życie codzienne okazywało się pasmem uciążliwości, poczynając od walki o zdobycie mieszkania i żywności, przez obronę mienia przed szabrownikami, a kończąc na strachu przed UB i oddziałami Łupaszkki. Po podwórkach i piwnicach biegały szczury, a latem zaroilo się od much. Nie było gazu, zdobycie wody graniczyło z cudem – ta z jedynej studni na Zatorzu do śródmieścia nie docierała. Trzeba było czerpać z Łyny, w której pływały wytłuczone granatami strzępy ryb i ludzkich ciał, a na brzegu walały się końskie trupy. Przetogotowywanie wody okazało się



A taki widok miasta roztacza się przed nami dzisiaj

niewystarczające, pojawiły się zachorowania. Zapelniał się szpital, tyfus „olsztynianka” zbierał śmiertelne żniwo.

Do jesieni uporano się z pozrywanymi liniami energetycznymi i stacjami rozdzielczymi, po czym popłynął prąd, uruchomiono też sieć wodociągowo-kanalizacyjną. U źródeł pomysłu niemieckich ekologów i władz na budowę stacji pomp, rozpoczętej 2 marca 1897 roku, leżały właśnie nękające ludność choroby zakaźne (dziś ujęcie zwie się „Zachód”). W 1939 roku zakończono budowę pomocniczej oczyszczalni ścieków. Tam, gdzie na północy miasta Łyna rozlewa się po płaszczyźnie łąk, funkcjonuje oczyszczalnia ścieków „Łyna”. Podczas gdy obecnie ochrona przyrody jest koniecznością, w początkowych latach po wojnie zaprzętała głowy jedynie w sensie zabezpieczenia się przed chorobami i ustabilizowania życia.

Osadnictwo w Okręgu Mazurskim zbiegło się z rozpoczęciem wprowadzonej przez ministra ziem odzyskanych, Władysława Gomułkę, skierowanej do miejscowej ludności akcji weryfikacyjnej, rozumianej jako realizację decyzji Wielkiej Trójki w Poczdamie o wysiedleniu ludności niemieckiej z przyznanych Polsce ziem. Polegała ona na wypełnianiu wniosku o uznanie polskiej narodowości i nadanie polskiego obywatelstwa. Kto takiej deklaracji nie podpisał, kwalifikował się do wyjazdu do Niemiec. I Łyna, i Wadąg, i Pisa, i tysiące jezior rozsianych w polodowcowym krajobrazie, w tym piętnaście jezior, obecnie leżących w granicach administracyjnych Olsztyna, były świadkami wymiany ludności. Według Lucjana Skrodzkiego, pracownika kolei w Olsztynie, załadunek niemieckich pasażerów do wagonów zwierzęcych odbywał

się w spokojnej atmosferze, bez oznak przymusu. Do końca tego roku z całego regionu wysiedlono 96 tysięcy osób. Dla nich ta ziemia stała się ziemią utraconą.

Weryfikacja w Okręgu Mazurskim do złudzenia przypominała paszportyzację stosowaną wobec Polaków w Związku Radzieckim w czasie wojny i na Kresach Wschodnich po wojnie. Nie wyrażali zgody na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego, więc przybywali z Wileńszczyzny, Ukrainy, Białorusi transportami kolejowymi całymi rodzinami, często z inwentarzem żywym, w miejsce ludności niemieckiej do Okręgu Mazurskiego. Na miejscu otrzymywali przydziały na zadbane domy z prądem, wodą, z kredensami zastawionymi porcelaną, ale też na domy, w którym jeszcze mieszkali dawni właściciele na walizkach, walizkach spakowanych na wyjazd do Reichu. W końcu 1945 roku Okręg Mazurski zamieszkiwało 168 tysięcy przesiedleńców i 50 tysięcy „tuziemców”, jak ich zwie Władysław Ogrodziński [...]

Pokoleniu urodzonemu przed wojną źle było w nowych granicach, zwłaszcza że stan ten poprzedziło wejście Armii Czerwonej. Polacy też się dobrze nie kojarzyli, bo traktowali ich wrogo, jak Niemców, a nie wszyscy nimi byli, przecież czysta ludność niemiecka wyjechała w pierwszym rzucie do Niemiec. Mazurów osadnicy nie okradali, ale oszukiwali. Za pierzyny, kołowrotki i inne przedmioty albo dawali garstkę żyta na chleb lub kilka kartofli, albo... kończyli na obietnicach. Braki niezbędnych do życia przedmiotów i jedzenia były potworne [...]. Dopiero w przypadku Warmii można mówić o odzyskanej, po tylu zmiennych kolejach dziejów, ziemi. Odzyskanej dla polskich Warmiaków, bo ci, którzy na co dzień

posługiwali się językiem niemieckim, wciąż siebie w tych warunkach nie widzieli. W Żalbkach jeszcze pod koniec lat 50. w pamięć wrastał widok, jak ciągnęli na dworzec swe ewakuacyjne wózki [...]

Najsilniej na rzecz integracji wielokulturowej społeczności Olsztyna zadziałały muzeum i teatr. Dzięki Hieronimowi Skurpskiemu, Mazurowi z Działdowszczyzny, oraz współpracownikom, którzy z gruzów wydobywali i zabezpieczali świadectwa przeszłości pogańskiej i niemieckiej, przy jednoczesnym wydobywaniu polskości tej ziemi, 25 listopada 1945 roku otwarto Muzeum Mazurskie. Jako Muzeum Warmii i Mazur funkcjonuje ono do dziś, prowadząc o wiele bardziej rozszerzoną, niż by wskazywała nazwa, działalność kulturalną.

Drugą instytucją, która była areną porozumienia wielokulturowej społeczności, był Teatr im. Stefana Jaracza. Zarówno pierwszy spektakl „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej, zaprezentowany 18 listopada 1945 roku, jak i znalezienie się w zespole aktorskim znanych artystów scen polskich: Eugenia Śnieżko-Szafnagłowa, Hanna Skarżanka, Karol Adwentowicz, Jan Kurnakowicz, Aleksander Sewruk, Tadeusz Janczar, zapoczątkowały nieustającą działalność tej instytucji.

Helena Piotrowska

Olsztyn, 17-30 września 2012

Praca wyróżniona w III Konkursie Literackim o Laur Łyny 2012 na temat: „Olsztyn – Warmia – Mazury jako Ziemia odnalezionych przeznaczeń od 1945 roku po współczesność w reportażu historyczno-społecznym, kulturalnym, ekologicznym i osobistym”. Tytuł od redakcji.

CZY TRUMP UWAŻA PUTINA ZA SWEGO MISTRZA?

Na zebranie naszego oddziału zaprosiliśmy Wacława Radziwinowicza, by opowiedział o sytuacji na świecie. Zbieżny z prelekcją poniższy tekst pochodzi z „Gazety Wyborczej”.

Marco Rubio, sekretarz stanu USA twierdzi, że wkrótce w Waszyngtonie będą wiedzieć, czy Rosja chce pokoju. Wtedy zdecydują, jak nią grać. Po co czekać, jeśli wystarczy posłuchać, co dziś mówi Putin i jego ludzie. Pan Kremla na niedawnym spotkaniu z członkami swojego Związku Przemysłowców i Pracodawców po raz setny któryś postawił sprawę jasno. Albo Ukraina natychmiast odda i uzna je za rosyjskie całe (wciąż nie do końca zajęte przez Rosjan) obwody ługański, doniecki, zaporoski i chersoński, albo Moskwa sięgnie po Odessę. Do marszu na to portowe miasto jego siły zbrojne już się najwyraźniej szykują. W rozmowie z dowódcami atomowego okrętu podwodnego „Archangielsk” był jeszcze bardziej otwarty, zapowiadając wprost: „Dobijemy Ukrainę”.

Znany jako szara eminencja Kremla i ojciec „putinizmu” Władisław Surkow udzielił niedawno wywiadu tygodnikowi „L’Express”. On dziś nie pełni żadnych ważnych funkcji, ale na to, co zawsze prosto z mostu mówi, warto zwracać uwagę, bo to, co zapowiada były wicepremier, się sprawdza. Tym razem o Ukrainie było tak: „Wojenny nacisk na Ukrainę oddzielił to, co ruskie od antyruskiego. Antyruskiego nie będzie więcej niż było. I ono zostanie zamknięte na przeznaczonym mu obszarze i już nie będzie się rozpełzać po ziemiach rosyjskich”. Jasności dodał, wskazując, że w zamykaniu „ukraińskiego” w rezerwacie powinna wziąć udział też Europa: „Zrozumiałe jest, że bez udziału UE uregulowanie problemu nie jest możliwe. W zrównoważonym rozbiórce Ukrainy należy przewidywać część zdobyczy dla Brukseli” – wskazał.

O podporządkowaniu Moskwie całej Ukrainy z wyjątkiem jej okrawków przy granicy z Polską, Węgrami i Rumunią mówi nie tylko Surkow. Dmitrij Trenin, ważny dziś ekspert kremlowski, kilka miesięcy temu dosyć szczegółowo opisywał taki plan ostatecz-



PREZYDENTA USA Z GOSPODARZEM KREMLA MOCNIEJ ŁĄCZY WOJNA Z TYM SAMYM „SZATAŃSKIM” WROGIEM – Z TYM, CO I W MOSKWIE, I ZA OCEANEM NAZYWAJĄ „DEEP STATE”, CZYLI Z NIEZALEŻNYMI INSTYTUCJAMI.

nego rozwiązania kwestii ukraińskiej. Ale na zawojowaniu Kijowa i Odessy Surkow, było nie było też autor koncepcji „ruskiego miru”, się nie zatrzymuje. „Ruski mir nie ma granic. Ruski mir jest wszędzie, gdzie przenikają kulturalne, informacyjne, wojskowe, ekonomiczne, ideologiczne wpływy Rosji. Tak więc będziemy się rozszerzać na wszystkie strony, brać, co Bóg da, na co i zasobów wystarczy” – zapowiada Surkow, który swego czasu wskazywał, że wojna z Ukrainą to początek powrotu Rosji do granic imperium sprzed „hańbiącego pokoju brzeskiego” w 1918 roku.

A w tych granicach był choćby „kraj nadwiślański”. Sam Putin przypomniał sobie niedawno, że Lwów nigdy nie należał do Rosji, „a Warszawa należała”. Tak więc udział w zbrodni „rozbiórów”, o których słyszymy z Moskwy, wcale nie daje gwarancji, że i Europa nie stanie się po nich obiektem „roz-

szerzania”. Tak jak udział Polski w rozszarpaniu Czechosłowacji przez Hitlera w 1938 roku nie ochronił jej samej przed rozbiorem. Wojownicze wypady Putina i Surkowa to tylko przykłady z ostatnich dni, kiedy toczą się amerykańsko-rosyjskie konsultacje pokojowe. Moskwa nawet teraz dobitnie i cynicznie mówi, o co jej chodzi, do czego dąży. Tak – do pokoju, ale po tym, jak „dobije Ukrainę”, „rozszerzy się” o nią, a potem, jak „Bóg da”, „rozszerzać się” będzie dalej. Czemu w USA tego nie słyszą i przez kolejne krwawe „tygodnie”, jak ocenia Rubio, będą czekać, by określić, czy Putin chce pokoju. Dużo mówi się, że Donald Trump to „Krasnow”, agent zawerbowany przez KGB działający na polecenie z Moskwy. Rzecz jasna, zrozumiała. Teoria prosta, wręcz prostacka. Prezydenta USA z gospodarzem Kremla mocniej łączy wojna z tym samym „szatańskim” wrogiem – z tym, co i w Moskwie, i za oceanem nazywają „deep state”, czyli z niezależnymi instytucjami. Przy tym Putin może być dla Trumpa tylko mistrzem i nauczycielem. On u siebie „deep state” pokonał. Nie ma u niego niezależnych sądów, hardych mediów, parlament to tylko karykatura i dekoracja, wybory to farsa. Na uniwersytetach wyklada się ideologię państwową. Cerkiew gra, jak jej Kreml zagra. Opozycja jest albo na emigracji, albo w więzieniach, albo w mogiłach. Putin tego dokonał. Trump chaotycznie próbuje powtórzyć ten sukces, ale może mu się nie uda. O tym, jak ideologicznie są sobie bliscy, świadczą choćby peany, jakie w adres Trumpa wygłasza dziś raz za razem przykremlowski myśliciel Aleksandr Dugin. A zza oceanu wtóruje mu zwany „Duginem trumpistów” wieszczący koniec liberalizmu i demokracji Curtis Yarvin, rozplywający się w pochwałach dla dokonania zucha Putina.

Wacław Radziwinowicz
„Gazeta Wyborcza”, 7.04.2025 r.

Tytuł pochodzi od redakcji DO. Autor jest laureatem III edycji Nagrody im. Henryka Panasa

W POLITYCE ZDROWY ROZSĄDEK NIE OBOWIĄDUJE

Znany satyryk Krzysztof Daukszewicz, laureat Nagrody im. Henryka Panasa, w rozmowie z tygodnikiem „Przegląd” zajął się także polityką. Oto ważniejsze fragmenty:

– **Czy z satyrykiem można porozmawiać na poważnie?**

– Ze mną można, a nawet trzeba, bo jestem bardzo poważnym człowiekiem. Satyrycy z reguły są bardzo poważnymi ludźmi, co widać szczególnie w zderzeniu z politykami, bo jak oglądasz Sejm, to widzisz, że ci posłowie przebijają nas pod każdym względem.

– **Nie tylko w Sejmie, że wspomnę o gali-matiasie związanym z kupowaniem dyplomów MBA w Collegium Humanum. Ty chyba na taką specjalną ofertę się nie załapałeś?**

– Nie miałem takiej potrzeby, co więcej, już wiele lat temu przerwałem studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie w sposób – powiedziałbym – dosyć zabawny. Mieliliśmy takiego profesora od pedagogiki, który nie zaliczał egzaminu nawet za pół pytanie, na które student nie odpowiedział. Mnie trafiły się trzy pytania, na dwa typowo pedagogiczne odpowiedziałem bez problemu, ale profesor chciał mnie złapać na pytaniu o system oświatowy w... Bułgarii. A że już wtedy myślałem o uprawianiu profesji, jaką wykonuję dzisiaj, więc zdobyłem się na odwagę i mu uczciwie odparłem: „Panie profesorze, jeśli system oświatowy w Bułgarii będzie mi potrzebny w pracy zawodowej, to przysięgam panu, że pojadę do Bułgarii i sprawdzę to na własnej skórze”. Na co on zareagował bardzo życzliwie, bo postawił mi w indeksie trójcę, ale zarazem dodał: „Mnie nie będzie przeszkadzało spotkanie pana na korytarzach WSP, ale nie widzę dla pana miejsca na tej uczelni”. W ten sposób delikatnie wybił mi z głowy studiowanie pedagogiki [...]

– **Niedawno przewidywałeś publicznie, czyli w wywiadzie prasowym, że jeśli prezes Kaczyński wystawi kandydaturę „człowieka bez imienia” na fotel prezydenta, czyli niejakiego Karola Nawrockiego, to się przeliczy. A on wystawił, więc sądzisz, że się przeliczy?**

– Gdybym mógł tak łatwo przewidywać, to założyłbym w domu centrum wróżbiarskie

i bym zarabiał grube pieniądze, nawet bez dyplomu MBA... Chociaż zdarzało mi się co nieco przewidzieć, że wspomnę o liście do Hrabiego sprzed ponad 30 lat, gdy pisałem: „A na pytanie Pana Hrabiego: – Co w takim razie oznaczają w naszym kraju słowa pluralizm i demokracja, to odpowiadam, że co to jest pluralizm i demokracja to wie tylko Lech Wałęsa, ale wygląda na to, że prawidłową odpowiedź schowali na później bracia Kaczyńscy”.

– **I te słowa okazały się prorocze? Co prawda Lech Kaczyński od dawna nie żyje, ale Jarosław wie najlepiej, jak w praktyce stosować demokrację i pluralizm, choć to drugie słowo nie jest już tak modne jak wtedy, gdy w charakterystyczny sposób powtarzał je Wałęsa.**

– Teraz śmieję się, że z biegiem lat Jarosław Kaczyński coraz bardziej upodabnia się do Lecha Wałęsy. Można to porównać. Znalazłem taki cytat Wałęsy chyba sprzed trzech dekad, kiedy mówił: „Wiem, że przykładem dykcji i wymowy nie jestem, ale przykładem sensu słów chyba tak”. Natomiast Jarosław Kaczyński tak powiedział przed wyborami do europarlamentu: „Idziemy tam, żeby powiedzieć nie, ale nie mówimy nie, bo jesteśmy na tak”. I powiedz, czym to zdanie różni się od poprzedniego? [...]

– **Te odczucia społeczne rozpoznajesz jeżdżąc po kraju na występy kabaretowe i spotkania autorskie, bo przecież jesteś autorem wielu książek satyrycznych? Rozmawiasz z gośćmi tych spotkań?**

– Raczej to ja do nich mówię, a oni mnie słuchają. Ale na te spotkania przychodzą ludzie, którzy mają podobne poglądy do moich. Śmieję się nawet, że na moje koncerty przychodzi Nasza Klasa, która wykształciła się w swoim czasie, nabrała nawyków obywatelskich, czuje się odpowiedzialna za nasze państwo, za Polskę.

– **I co, na takim spotkaniu nie pojawi się na przykład zwolennik PiS, Solidarnej Polski albo Konfederacji, nie zakłóci atmosfery krytycznym głosem?**

– Owszem, są takie przypadki, ale sporadycznie. Takie zaczepki ze strony sympatyków prawicy przytrafiają się jednak poza salą spotkań. Na przykład kiedyś na Powązkach, gdy szedłem z kwiatami na grób mojej żony Małgosi [z domu Kreczmar – przyp. MK], zaczął mnie taki bysio bez szyi i zapytał z pretensją w głosie: „O, Daukszewicz! Co pan tu robi? To jest cmentarz dla Polaków!” Innym razem grałem jakiś event, a tam goście szybciej pili niż ja mówiłem i ciężko z nimi było nawiązać kontakt, tyle że na takich występach generalnie unikam tematów politycznych. Raczej opowiadam o me-nelikach i tego rodzaju przygodach. A tu po koncercie podchodzi do mnie facet, nawalony jak messerschmitt, z pretensjami: „Dlaczego pan cały czas czepia się tych z PiS-u?” Ja się zdziwiłem i mu odpowiadam: „Proszę pana, przecież ja dziś w ogóle nie mówiłem o Kaczyńskim i jego kolegach”. A on bełkotliwie na to: „Nie mówił pan? A wie pan, dlaczego? Dlatego, że pan nimi gardził!”

– **Czyli na występy „pana Krzysia” przychodzą raczej wyznawcy jednej opcji, zwanej demokratyczną, co mi przypomina widowie „Szkła kontaktowego”, w którym wiele lat byłeś stałym komentatorem. Zdarzało się, że ktoś do was dzwonił próbując zakłócić błogi spokój rozmówców w studiu?**

– Zdarzało, ale rzadko. Miałem taki przypadek, tuż przed Świętem Zmarłych, gdy bronilem Tuska, że zadzwonił pan Robert – jak zapamiętałem – i „na żywo” dosłownie zmieszał mnie z błotem. Następnego dnia byłem na Powązkach, gdzie od 1979 r. kwestuję na renowację starych cmentarzy, i zebrałem do puszek rekordową kwotę pieniędzy. Każdy wrzucał datek ze słowami: „A to za tego chama! A to za tego chama!” Prawda jest taka, że jeśli ktoś ma określone poglądy polityczne, na przykład liberalne, to nie wytrzyma pięciu minut oglądając w telewizji zaciekłego prawicowca. Można więc przyjąć, że tak się tworzy również widowie „Szkła kontaktowego”. I odwrotnie; ten sposób myślenia o Polsce nie odpowia-



Krzysztof Daukszewicz to ikona polskiego kabaretu

da „konserwie”, która przerzuca się na inny kanał, ostatnio na TV Republika [...]

– **Ale te występy kabaretów, jakie prezentują nam różne kanały telewizji, wcale nie są śmieszne, przynajmniej dla wyrobionej pod tym względem publiczności. Nie przyjmuje serwowanej nam sieczki.**

– Dzisiejsze media idą na łatwiznę, na oglądalność, płyną z prądem pod proste, nawet prostackie gusta widzów. Zabrzmi to paradoksalnie, ale powiem ci, że największy luz, jeśli chodzi o satyrę i humor polityczny, panował w telewizji za pierwszych rządów SLD, za Leszka Millera. Wtedy tej formacji nie obchodziło, co mówią o niej artyści kabaretowi, ponieważ tamta lewica miała większe problemy na głowie, zwłaszcza po aferze Rywina. Pamiętam, że wtedy w telewizji mówiłem takie rzeczy, z których obecni decydenci telewizyjni nawet grama by nie puścili. Potem przyszedł pierwszy PiS i ograniczył swobodę wypowiedzi satyryków, PO trochę odpuściło, ale nowe rządy PiS przykręciły śrubę i praktycznie pozbawiły kabarety elementów myślenia, co zostało do dzisiaj.

– **Ale za to mamy niezły kabaret w życiu politycznym, jak zauważyłeś na wstępie. Niedawno media ujawniły, że co prawda były szef TVP Jacek Kurski otrzymał rozwód kościelny z poprzednią żoną, ale Trybunał Metropolitalny w Gdańsku**

zakazał mu zawierania nowego małżeństwa w kościele „z przyczyn natury psychicznej”. Jednak abp Leszek Głódź ten zakaz uchylił, podobno komentując przy okazji, że „w Kościele da się wszystko załatwić”.

– Jacek Kurski nie ma poglądów politycznych! On kocha pieniądze i tylko pieniądze. Przecież był w konflikcie z Kaczyńskim i do niego wrócił. Ale Jarosław Kaczyński kocha tych, co kochają pieniądze, bo ci za szmal robią to co im każe. I tu koło się zamyka. A że Kurski dostał rozwód kościelny i po raz drugi wziął w kościele ślub z drugą kobietą, to wiadomo, że wykorzystał umiłowanie kleru do mamony, bo przecież sam doskonale zna jej siłę. To tak jak w niewybrednym dowcipie o facecie, który przyniósł psa do kościoła, żeby go ochrzcić. Ksiądz mówi: „Ale wiara nie pozwala na taki obrządek!” Na co parafianin: „Rozumiem, proszę księdza, daję 100 tysięcy złotych, żeby ochrzcić to wierne stworzenie”. Proboszcz odpowiada: „No dobrze, tylko muszę zapytać biskupa”. Zadzwonił do kurii i mówi, jak się rzeczy mają, a na to biskup: „Zgoda, a jak gość da 200 tysięcy, to od razu przygotujemy psa do bierzmowania”. W tym żarcie jest pewna przesadza, ale wiele przykładów poświadcza, że istotnie „w Kościele da się wszystko załatwić”.

– **Skoro mówimy o sprawach kościelnych, to musimy liczyć się z tym, że po**

Nowym Roku zacznie się ostra walka o fotel prezydenta RP, chociaż jednocześnie Jarosław Kaczyński deklaruje, że czas zakończyć wojnę polsko-polską i wygląda, jakby to on miał sprawić. Mamy jego słowa przyjąć na wiarę? Możemy spodziewać się wieczystego pokoju?

– Najchętniej bym oczekiwał świętego spokoju! Natomiast nie muszę nikogo przekonywać, że Kaczyński to nie jest typ, który walczy o pokój. To nie jest gołąbek pokoju, bo jego pożywką jest nieustający konflikt. On w ogóle lubi zarządzać konfliktem. Jak nie ma konfliktu to on nie wie, co dalej ma robić. Nie mam pojęcia, jak miałyby polegać jego zabiegi o uzyskanie pokoju pomiędzy zwaśnionymi stronami, ale ja już teraz tego się boję.

– **Ale sam pewnie jesteś w nastroju pokojowym. I twórczym, bo sam niedawno wspólnie z żoną Violą wydaliście książkę „Sposób na przetrwanie”? Może piszecie drugą część?**

– Nie, nie, Viola pisze własną książkę. Czytałem fragmenty i mogę powiedzieć, że zapowiada się świetna powieść, ale więcej nie mogę zdradzić. Ja z kolei siedzę nad książką, którą nazwałem „Dojczyzna” i która traktuje o ostatnich dwóch latach w naszym kraju. Też zapowiada się ciekawie.

Rozmawiał Marek Książek
tygodnik „Przeгляд”, 13.01.2025

JAK PROWADZIŁAM ŚNIADANIÓWKĘ W AMERYKAŃSKIEJ TELEWIZJI

Nasza koleżanka Kasia Leśniowska nie tylko gościła w nowojorskiej stacji NBC, ale i wystąpiła w roli współprowadzącej popularną „śniadaniówkę”. Oto jej relacja.

Nowy Jork to według mnie jedna z najbardziej fascynujących metropolii na świecie. Miasto, które nigdy nie zasypia i oferuje wszystko, o czym tylko można zamaryżować, od tętniącej życiem dzielnicy finansowej z olbrzymimi drapaczami chmur do ekskluzywnego Uptown, gdzie luksusowe apartamenty kosztują fortunę. Podczas tygodniowego pobytu w Nowym Jorku postanowiliśmy odwiedzić nie tylko teatry na Broadwayu (obejrzelśmy trzy znakomite przedstawienia), ale również przyrzeć się pracy jednej z najstarszych stacji telewizyjnych na świecie.

W tym celu udaliśmy się na 30 Rockefeller Plaza do Rockefeller Center, gdzie od lat 30. ubiegłego wieku mieści się najstarsza z trzech największych ogólnokrajowych sieci telewizyjnych w USA – NBC. Podczas kilkugodzinnego pobytu w telewizji (niestety nie można było robić zdjęć) mogliśmy m. in. obejrzeć studio 8H, z którego od lat 50. nadawany jest na żywo najbardziej popularny program satyryczny USA „Saturday Night Live”. Gośćmi programu byli min. Bill Murray, Eddie Murphy, Chevy Chase, Steve Martin, ale również politycy Al Gore czy Bernie Sanders. „Saturday” wychowało pokolenia amerykańskich komików m. in. debiutowali w nim Dan Aykroyd i John Belushi tworząc potem kultowy „Blues Brothers”. To studio było również największym studium radiowym świata, w którym nagrywała Orkiestra Symfoniczna NBC pod batutą Arturo Toscaniniego.

Kolejnym odwiedzionym przez nas studium było studio 6A, gdzie dzisiaj nagrywany jest „The Kelly Clarkson Show”, program z publicznością na żywo. Sami byliśmy na widowni podczas nagrania jednego z takich programów, a był to „Late Night with Seth Meyers”, którego gościem tego wieczoru była Pamela Anderson. Największym zaskoczeniem był fakt, że wszystkie teksty Seth Meyers odczytywał nie z telepromptera, tylko tradycyjnie z zapisanych kartek



Kasia miała okazję przeprowadzić wywiad z gwiazdą amerykańskiej telewizji i zapowiedzieć prognozę pogody

przerzucanych przez – w wolnym tłumaczeniu – „człowieka kartkowego”. Nasza wizyta w studio odbyła się na kilka dni przed zaprzysiężeniem Donalda Trumpa na prezydenta i wszyscy w stacji, z którymi mogliśmy porozmawiać, zgodnie stwierdzili, że dowcipy z Donalda do programu będą się pisać same. A trzeba dodać, że wszystkie teksty do codziennego programu wieczornego Setha Meyersa pisze sztab złożony z kilkudziesięciu osób.

Na zakończenie wizyty czekała nas niespodzianka, a mianowicie mieliśmy możliwość wziąć udział w nagraniu popularnego, amerykańskiego programu śniadaniowego „Today Show”.

Po wstępnej rozmowie z wszystkimi uczestnikami naszej grupy osoba z reżyserki przydzieliła nam różne zadania. Mnie przypadła rola współprowadzącej program, co przyjąłem z niejaką dumą, ale i pewną obawą, kiedy okazało się, że będę musiała czytać teksty z telepromptera, na

dodatek po angielsku (dodam, że w grupie byliśmy jedynymi obcokrajowcami). Pani od makijażu poprawiła nam make up, fryzury i...zaczynamy.

Oczywiście o jakiegokolwiek próbie można było zapomnieć. One, two, three i wchodzimy na antenę. Zapaliły się światła, ruszyły kamery i w jednej chwili moja wcześniejsza trema zniknęła, a ja poczułam się prawdziwą gwiazdą pasma śniadaniowego, choć zadanie wcale nie było takie proste.

Podczas nagrania godzinnego programu mieliśmy okazję przeprowadzić wywiad z gwiazdą amerykańskiej telewizji, odczytać newsy czy zapowiedzieć prognozę pogody (a nie było przerw reklamowych!). Po zakończeniu nagrania otrzymałam mnóstwo komplementów, że jako osoba nieanglojęzyczna tak szybko weszłam w rolę. Zabawa była przednia!

specjalnie
dla „Dziennikarza Olsztyńskiego”
Katarzyna Leśniowska

Z JOGĄ ŚWIADOMOŚCI NA SZCZYT PIĘKNEJ GÓRY

Joga. To słowo jednym kojarzy się z siedzeniem w pozycji lotosu i medytowaniem, a innym z nowoczesnym fitnesssem – pisze nasza wszechstronnie utalentowana koleżanka Marta Bulik.

Zarówno jedni, jak i drudzy, są tak samo blisko prawdy, ponieważ joga znaczy tyle co „połączenie”, a stylów jogi jest bardzo dużo i są ogromnie zróżnicowane. To jednak nie ma znaczenia, bo idziemy na ten sam szczyt góry, niezależnie jak stromy i jak długi szlak wybierzemy do tej wspinaczki. Ja zaczęłam swoją wędrówkę na szlaku vinyasa jogi. To joga bardzo fizyczna, mocno pracująca z ciałem, dająca mu elastyczność i holistyczne wzmocnienie. Ta ścieżka doprowadziła mnie do innej, do jogi kundalini, nazywanej jogą świadomości. Tutaj, oprócz asan, czyli pozycji ciała w jodze, pojawiają się również pranajamy (praca z oddechem), mudry (specjalne ułożenie palców i dłoni) oraz mantry (praca z dźwiękiem). Po co takie dodatki i utrudnienia? Dla głębszego połączenia ze sobą, z energią i tematami, nad którymi chcemy pracować, bo joga kundalini to nie tylko aktywność fizyczna, ale ścieżka rozwoju, wykorzystująca różne narzędzia (ale nie religia!).

JAK UWOLNIĆ NAPIĘCIA

W naszej kulturze, również znane i wykorzystywane, są niektóre z tych narzędzi. Na przykład w kościele katolickim, mudra modlitewna, czyli złożone dłonie przy klatce piersiowej. Mudra ta ma za zadanie zrównoważenie półkul mózgowych i zbalansowanie energii męskiej i żeńskiej, co w konsekwencji daje spokój i skupienie umysłu. Dzieje się to poprzez stymulację meridianów dłoni, czyli punktów energetycznych, które się tam znajdują (czy chińska akupunktura, brzmi znajomo?). Równie szeroki zasięg terytorialny ma praca z dźwiękiem. Weźmy najprostszy przykład. Pewnie wielu czytelników słyszało o sławnej prasylabie OM. W rzeczywistości jest to pewne uproszczenie. Dźwięk ten to AUM, powstający w najprostszy sposób. Kiedy intonujemy samogłoskę A i powoli zamykamy usta,



Na zdjęciu: Autorka tekstu ćwiczy jogę kundalini

nie przerywając intonacji, to w pewnym momencie, zamiast A, usłyszymy O, a kiedy nadal kontynuujemy, nawet po zamknięciu ust, to słyszymy mruczące „mmm” (czy nie brzmi podobnie, jak długie Aaaaamen?). Narzędzi jest wiele, a różne ścieżki i kultury, wybierają różne ich zestawy. Joga kundalini ma bardzo szeroki wachlarz tych narzędzi, zebrany z różnych technik, tradycji i ścieżek starożytnej jogi.

Najważniejszym narzędziem jest nasze ciało. Dzięki niemu, możemy istnieć i funkcjonować na Ziemi, zatem najbardziej oczywista i wieloaspektowa praca, wykonywana jest za jego pomocą. Jednak to przełożenie, nie jest tak całkiem oczywiste na pierwszy rzut oka. Przykładowo, turlając się z boku na bok, równoważymy nasze pole magnetyczne. Dla nas dorosłych, zazwyczaj brzmi to abstrakcyjnie, ale dzieci i zwierzęta bardzo lubią się turlać. Wiele rzeczy wykonują intuicyjnie. Jako dorośli, często wypieramy nasze emocje, a one odkładają się potem w ciele, generując wiele blokad ruchowych. Według starożytnych nauk, stres i napięcie emocjonalne, kumuluje się głównie w biodrach, ale także w okolicach karku, kiedy bierzemy na siebie zbyt wiele emocjonalnych ciężarów. Zwrodnienie chrząstki biodrowej i odcinka szyjnego, to prawdziwa epidemia naszych czasów. Możemy powiedzieć, że to wina siedzącego trybu życia i wpatrywania się w ekrany komputerów i że wystarczy regularny ruch, żeby ciało było w dobrej kondycji.

Owszem, to prawda, a czym jest ta aktywność fizyczna? Właśnie uwalnianiem napięć, skumulowanych w ciele, poprzez ruch. Popatrzmy na naszego psa, który się otrzępuje. Popatrzmy, jak się zachowuje, kiedy mija swojego „wroga osiedlowego”. Podskakuje, wytrząsając z siebie stres. Jak dzieci idą do szkoły albo do lekarza? Powoli i spokojnie. A co robią po szkole i po badaniach? Biegają i rozpięra je energia. To są naturalne reakcje ciała, na pozbycie się hormonów stresu z organizmu. A co robią dorośli po przyjęciu z pracy? Jeśli idą biegać albo jeździć na rowerze, to świetnie radzą sobie na bieżąco z nagromadzonym napięciem. Gorzej, jeśli siadają przed telewizorem. Wybór filmu komediowego niewiele robi dla rozluźnienia ciała. Wiemy już, że ruch jest kluczowy dla naszego dobrostanu, ale czym jest ta joga świadomości? Co właściwie nam oferuje? Dlaczego nie wszystko możemy załatwić wyjściem na rower?

Moja świadoma praca z jogą kundalini zaczęła się kilka lat temu, chociaż pierwszy raz spotkałam ją jeszcze na studiach, ale

wtedy nie była dla mnie zrozumiała, nie byłam na nią gotowa. Odpowiedni moment przyszedł 4 lata temu. Po porannej praktyce dynamicznej vinyasy poczułam że chciałabym czegoś więcej od praktyki jogi, że chcę w nią wejść głębiej i wtedy przypomniało mi się słowo „kundalini”. Wpisałam w wyszukiwarkę „joga kundalini” i tak zaczęła się moja nowa droga.

To, co znalazłam, było zupełnie inne. Nie umiałam medytować, mantry były dla mnie dziwne, a asany były zupełnie odmienne od tych, które znałam i lubiłam. Generalnie w tamtym czasie, patrząc na poszczególne elementy, to żaden z nich mi się nie podobał, ale całość pociągała mnie w sposób nieokreślony i niewytłumaczalny. Zaczęłam ją praktykować i czułam jakiś wewnętrzny przymus, żeby robić to codziennie. Efekty przyszły szybko. Po 3 tygodniach mój umysł zaczął funkcjonować tak, jak w stanie zakochania. Uśmiech nie schodził mi z twarzy, zachwycałam się szczerze wszystkim wokół, zarówno słońcem, jak i deszczem, nic nie było w stanie wyprowadzić mnie z równowagi, bo widziałam świat tylko w różowym kolorze.

ODZYSKAŁAM WOLNOŚĆ MENTALNĄ

To był rodzaj emocjonalnego „haju”, który trwał kilka miesięcy. W tym czasie zgłębiałam wiedzę i praktykę. Medytacje stały się nieodłączną częścią mojej codziennej praktyki, a mantry przestały brzmieć dziwnie. Po tym czasie różowe okulary spadły z mojego nosa i zaczęły się procesy transformacyjne. Same w sobie, niejednokrotnie wymagające, natomiast dające niesamowicie pozytywne efekty dla mojej psychiki, umysłu, stabilności emocjonalnej i przede wszystkim, dla odzyskania kontaktu ze sobą i kontroli nad życiem. Uwaga, świadomość. Te słowa nabrały dla mnie nowego, pełniejszego znaczenia. Moje życie zaczęło się zmieniać, bo zaczęłam się w nim poruszać z większym zrozumieniem i czuciem siebie. Odzyskałam wolność mentalną. Ta praktyka dała mi tyle dobrego, że zakiełkowałam we mnie chęć dzielenia się nią z innymi i tak trafiłam na kurs nauczycielski. Podczas tej niespełna rocznej podróży, siła transformacji znacząco się nasiliła, szczęśliwie proporcjonalnie do efektów. Bardzo lubię przysłowie o riksarszu, które moim zdaniem wspaniale ilustruje naszą wewnętrzną podróż w głąb siebie, indywidualny proces samopoznania. Co robił riksarz przed oświeceniem? Był riksarszem. Co robi riksarz po oświeceniu? Jest riksarszem. Niby nie zmienia się

nic, ale jednocześnie zmienia się wszystko. Nasuwa się tutaj pytanie o mechanizm tej transformacji; na czym to polega?

JAK OSIĄGNĄĆ SPOKÓJ WEWNĘTRZNY

Praktyki jogi kundalini wywodzą się z tantry, która jest źródłem i genezą wszelkich praktyk i filozofii jogicznych, które dzisiaj znamy. Zgodnie z tradycją, w jodze kundalini pracujemy nad przebudzeniem naszej siły witalnej, która jest energią kundalini, ulokowaną u podstawy kręgosłupa. Kiedy ta energia się uaktywni, osiągamy dostęp do pokładów ogromnej wydajności naszego ciała, umysłu i ducha. Mamy nieporównywalnie więcej siły fizycznej, odporności, nasz umysł działa dużo sprawniej i zaczynamy rozumieć rzeczy, które wcześniej były dla nas niedostępne. Zaczynamy widzieć życie, świat i nas samych, obiektywnie. Daje nam to zrozumienie, świadomość i spokój. Przestają nami szarpać emocje. Odpadają od nas blokady, zakotwiczone w podświadomości i dzięki temu nabieramy sprawczości w działaniu. Stajemy się świadomymi obserwatorami, a nie tylko uczestnikami wydarzeń. To daje spokój wewnętrzny.

Oczywiście ten worek dobrodziejstw, nie spada na nas w jednej chwili. Jest efektem naszej codziennej pracy. To akurat bliskie jest naszym zachodnim wartościom. Trening czyni mistrza, nieprawdaż? A trochę tej pracy będzie. W tradycji jogi kundalini, wybieramy sobie konkretną praktykę na 40, 90, 120 lub 1000 dni i wykonujemy ją bez wymówek. Nawet na lotnisku czy po nieprzespanej nocy. Jeśli jesteśmy chorzy, to wykonujemy ją mentalnie, wizualizując każdą pozycję w czasie rzeczywistym. Jeśli opuścimy jeden dzień, to zaczynamy od początku, nawet jeśli jest to 999 dzień naszej praktyki. To nie jest kierat, tylko słowo dane samemu sobie. Cenimy w innych bycie słownym, zaczniemy zatem od siebie.

Niektóre praktyki trwają tylko 3 minuty i od takich warto zacząć. Brak czasu nie będzie tu wymówką, więc sprawdźmy, czy możemy na sobie polegać. Na pewno będzie to jasna informacja o nas, od nas. Nie jest to łatwa droga, ale jeśli chcemy wyraźnych efektów, to musimy dać z siebie proporcjonalnie dużo pracy. Pewnie nie jest to ścieżka dla każdego, chociaż ja polecam ją każdemu. Idę nią już kilka lat i przyrównałabym ją do górskiego szlaku. Idziemy pod górę, ale im bardziej stromo, tym piękniejsze widoki.

Marta Bulik

MINISTER ZIOBRO W KODEKSACH MIESZAŁ

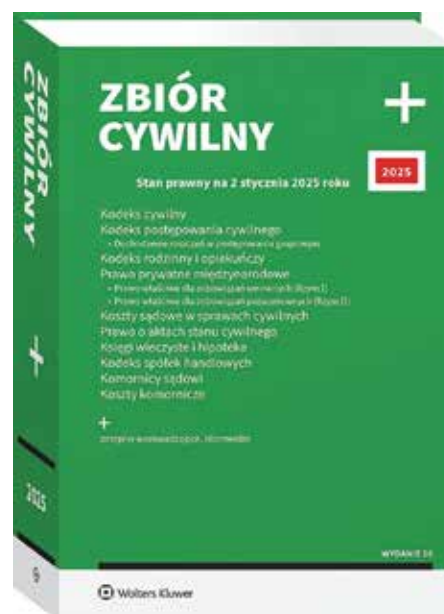
Kilka tygodni temu uświadomiłem sobie, że 1 stycznia tego roku minęło sześćdziesiąt lat od wejścia w życie kodyfikacji cywilnych, to jest uchwalonych w 1964 roku kodeksów cywilnego, postępowania cywilnego i rodzinnego oraz opiekuńczego. Rocznica minęła bez echa w postaci sympozjów, paneli czy podsumowań w innych formach. Uchwalenie tych kodeksów było wielkim wydarzeniem w zakresie stanowienia prawa poprzedzonym dyskusjami nie tylko teoretyków i konsultacjami ze środowiskami prawniczymi. Dość powiedzieć, że kodeks cywilny zastąpił 21 wcześniejszych aktów prawnych. Przez te, już ponad sześćdziesiąt lat, wspomniane kodeksy postarzały się i – mimo wielokrotnych nowelizacji – przestały odpowiadać współczesnym stosunkom i społecznym, i gospodarczym. A dlaczego prawo cywilne jest tak ważne? Nie zauważamy tego na co dzień, chociaż codziennie je stosujemy, choćby przy porannych zakupach na śniadanie zawierając umowy sprzedaży. Nie kupna-sprzedaży, a sprzedaży! Nawet jak my coś kupujemy, to na podstawie umowy sprzedaży.

Przez pierwsze dwadzieścia lat obowiązywania kodyfikacji cywilnych niewiele w nich zmieniono. Kodeks cywilny do końca 1985 roku nowelizowano siedem razy. Tylko, bo po 1989 roku zmian było i po kilka w jednym roku, a w przypadku kodeksu postępowania cywilnego nawet kilkanaście. Ten ostatni w sumie nowelizowano ponad 340 razy. Nic więc dziwnego, że od dawna rozważano konieczność kompleksowego podejścia do kodeksów cywilnych, być może opracowania kodyfikacji w całości. Zajmowała się tym, tak jak przed 1965 rokiem, Komisja Kodyfikacyjna przy ministrze sprawiedliwości. Ministrowie jednak się zmieniają i po „dobrej zmianie” minister Ziobro w grudniu 2015 roku zniemacka Komisję Kodyfikacyjną rozwiązał, co członkom Komisji zakomunikowano podczas plenarnego posiedzenia. Od tej pory nowelizacje przyspieszyły. Wiele z nich dokonano na zasadzie „wrzutek” i przy okazji zmian innych ustaw. Jeśli z kimś te zmiany konsultowano, to nie byli to ani teoretycy, ani też praktycy z prawdziwego zdarzenia. Niedouczeni aplikanci wiedzieli przecież wszystko lepiej, a ich celem nie było naprawianie prawa, a uprawianie bezprawia.

Nie tylko te idące w dziesiątki i setki nowelizacje sprawiają, że kodyfikacje cywilne wymagają opracowania na nowo. Po 1989 roku, a więc od ponad trzydziestu pięciu lat rozwija się w Polsce zupełnie inny system gospodarczy, pojawiły się zjawiska, wynalazki nieznanne wcześniej. Przykładem sztuczna inteligencja czy prawa autorskie w internecie. Problemów, którymi Komisja Kodyfikacyjna musi się zająć, jest oczywiście znacznie więcej. W dyskusjach wymienia się zniesienie ubezwłasnowolnienia i stworzenie systemu wspomagania osób niedających sobie rady w życiu, ułatwienie ochrony dóbr osobistych w miejsce odpowiedzialności karnej za słowo, ochrona konsumentów i małych firm w starciu z wielkimi organizacjami gospodarczymi, inne zdefiniowanie odpowiedzialności lekarzy i dziennikarzy. Przykłady te to bardzo mała część zagadnień, którymi kodyfikatory będą się zajmować i nie jest to zajęcie na miesiące, a na lata.

Ogrom problemów stoi przed komisją mającą przygotować kodeks postępowania cywilnego. Znaczny wzrost liczby spraw cywilnych w sądach w ostatnich dziesięcioleciach i radosna legislacja w ostatnich latach doprowadziły do niewydolności sądów. Komisja kodyfikacyjna, by temu szybko zaradzić, przygotowała projekt „naprawczej nowelizacji k.p.c.”, mający usunąć największe deformacje wprowadzone do postępowania sądowego w sprawach cywilnych w ostatnich latach, ale czy z uchwaleniem „ustawy naprawczej” nie trzeba będzie poczekać na nowego prezydenta?

Andrzej Sanecki



JAK TO Z MNIEJSZOŚCIĄ NIEMIECKĄ BYŁO

Poniżej zamieszczamy fragment książki Wiktora Marka Leyka, kolejnego laureata Nagrody im. Henryka Panasa, na temat mniejszości narodowych w regionie.

W dniu 9 listopada 1989 roku przyjechałem do Berlina Zachodniego wraz z moim przyjacielem dr. Andrzejem Saksonem (późniejszym wybitnym profesorem) na sympozjum naukowe organizowane przez zaprzyjaźnioną organizację Aktion Sühnezeichen (Znaki Pokuty). Kwaterowaliśmy w hotelu niedaleko muru granicznego z Berlinem Wschodnim. Wieczorem nagle rozeszła się wieść, że coś się dzieje na granicy. Kiedy podeszliśmy w pobliże muru, zgromadził się już tłum ludzi, kilkunastu mężczyzn rozbijało młotami betonową konstrukcję, pierwsze osoby ze strony NRD przeszły na zachodnią stronę. Nastąpiła wielka euforia, przez wyrąbane przejście wlewało się coraz więcej ludzi. Radość wielka, choć nikt nie wiedział jak to się skończy. Tak staliśmy się świadkami wielkiego wydarzenia w historii powojennej Europy – upadku muru berlińskiego. Następnego dnia kanclerz Niemiec przerwał swoją pierwszą wizytę w Polsce i przybył do Berlina, gdzie przemawiał z balkonu Pałacu w Charlottenburgu do zebranych tłumów berlińczyków. Po czym wrócił do Polski, do Krzyżowej i 12 listopada wraz z premierem Tadeuszem Mazowieckim wzięli udział w słynnej mszy pojednania z przekazaniem sobie znaku pokoju. Toczone wtedy rozmowy przyniosły owoce rok później, 14 listopada 1990 roku, w postaci podpisania przez ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec – Krzysztofa Skubiszewskiego i Hansa Dietricha Genschera Traktatu o Nienaruszalności Zachodniej Granicy Polski. Ten akt umożliwił normalizację wzajemnych relacji politycznych zakończoną ostatecznie podpisaniem 18 czerwca 1991 roku Traktatu o Dobrym Sąsiedztwie i Przyjaznej Współpracy, który zagwarantował także prawa dla mniejszości niemieckiej w Polsce. Przytaczam ówczesne tło polityczne, aby podkreślić wagę i wolę działania ludzi z mniejszości niemieckiej

w naszym regionie po czterdziestu pięciu latach zakazów organizowania się i mówienia po niemiecku. Przełomowy był rok 1990, gdy powstały pierwsze organizacje. Dr Alfred Czesła wspominał to tak: „Pierwsze inicjatywy powołania organizacji narodziły się nie tylko w Olsztynie, ale także niemal równocześnie



śnie w Biskupcu Reszelskim (Paul Gollan), Szczytnie (Edmund Kuciński) i Krutyni (Tadeusz Willan) oraz innych mniejszych miejscowościach. Każda z osób inicjujących widziała swoją własną koncepcję stowarzyszenia”. Prawdopodobnie najwcześniej, bo 12 marca 1990 roku odbyło się w Kolonii koło Świętajna zebranie członków założycieli Stowarzyszenia Kulturalnego Niemców byłych Prus Wschodnich „Heimat”, zorganizowane przez adwokata Edmunda Kucińskiego. Wniosek rejestrowy do sądu został złożony 12 maja 1990 roku, a rejestracja po wielu perturbacjach i poprawkach do statutu, nastąpiła dopiero 12 lutego 1991 roku. Zastrzeżenia dotyczyły między innymi terminu „Prusy Wschodnie” i „Heimat” oraz zapisu dotyczącego spraw majątkowych, w tym ewentualnych rewindykacji. Mecenas Kuciński w piśmie do sądu odpowiadał, iż: „w nazwie Stowarzyszenia „Prusy Wschodnie” są przyjęte jako pojęcie historyczne poprzez użycie słowa

„byłych”. Użycie słowa Prusy Wschodnie w tym kontekście w niczym nie narusza prawa tak wewnętrznego jak i międzynarodowego”. Z kolei nazwa „Heimat” jest nazwą własną i nie narusza zasady o obowiązku używania języka polskiego w dokumentach, dla przykładu podał nazwę stowarzyszenia „Pax”.

Mecenas zagroził, że „na wypadek dalszych szykan i torpedowania rejestracji Stowarzyszenia wnioskodawca podejmie działanie dla wyeliminowania wrogiej postawy organu nadzoru w stosunku do rejestracji Stowarzyszenia. Ostatecznie uzgodniono i sędzia sądu wojewódzkiego Stanisław Brzostkowski zarejestrował statut pod nazwą „Stowarzyszenie Kulturalne Niemców „Heimat” w Leśnym Dworze (k. Szczytna). Równocześnie od początku roku trwały różne spotkania osób mających niemieckie pochodzenie w Olsztynie. Jak wspominał Ulrich Mondroch z Gutkowa, on sam zebrał listę 72 chętnych do zorganizowania stowarzyszenia, choć jak trzeba było złożyć pisemną deklarację, to uzyskał tylko pięć. Ale w Olsztynie wszystkie drogi prowadziły, jak się okazało, do Waltera Angrika. Był on rzemieślnikiem i taksówkarzem o szerokich kontaktach i stał się niekwestionowanym liderem. Zebranie założycielskie odbyło się 21 września 1990 roku. Proponowano nazwę Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej w Olsztynie z dodatkiem „Ermelandier”, ale ostatecznie zarejestrowano 4 stycznia 1991 roku Olsztyńskie Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej (OSMN). Wkrótce powstały jego oddziały w Barczewie, Lidzbarku Welskim, Lidzbarku Warmińskim, Iławie, Nidzicy, Dobrym Mieście, Morągu, Radostowie, Reszlu i Rynie. Łącznie Stowarzyszenie liczyło dwa tysiące członków.

Jednak najwcześniej ze wszystkich zostało zarejestrowane Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej na Warmii i Mazurach w Biskupcu, bo już 12 listopada 1990 roku. Przewodniczył mu Paul Gollan z Najdymowa. Zaraz po nim



Wiktor Marek Leyk (drugi z prawej) wśród przedstawicieli mniejszości

zarejestrowano w sądzie w dniu 3 grudnia 1990 roku Stowarzyszenie Niezależnej Ludności Pochodzenia Niemieckiego „Korzenie” w Olsztynie pod przewodnictwem Aleksandra Szuchowskiego, które miało zajmować się szkoleniem zawodowym młodzieży także w Niemczech i działalnością gospodarczą i sportową.

Na łamach Gazety Warmińskiej opisywał to tak: „Zasadniczą formą działania Stowarzyszenia jest rozwijanie kontaktów głównie handlowych oraz organizacja legalnego wysyłania wykwalifikowanych pracowników do pracy w Niemczech. Te legalne »saksy« mają też za zadanie podnoszenie dotychczasowych kwalifikacji zawodowych wyjeżdżających, jak również poznawanie języka i innych form pracy. Zdecydowano także na wysyłanie pracowników na szkolenia zawodowe do Niemiec trwające od 3 do 18 miesięcy”. Dodam, że działania te były realizowane we współpracy z Izbą Rzemieślniczą.

Także w 1990 roku organizowała działalność Hildegarda Butrym; najpierw pod nazwą Stowarzyszenie Polaków Narodowości Niemieckiej, potem jako Stowarzyszenie Obywateli Polskich Narodowości Niemieckiej w Olsztynie, by ostatecznie 25 maja 1991 roku przyjąć nazwę Stowarzyszenie Niemieckie „Łoś” w Olsztynie, z rozszerzoną działalnością charytatywną.

Wymagało to uzupełnienia statutu, co nastąpiło 24 kwietnia 1993 roku. W odwołaniu do Sądu Wojewódzkiego (rejestrowego) napisano „Główny Urząd Celny w Gdańsku

wymaga punktów o działalności charytatywnej naszego Stowarzyszenia w naszym statucie. Mieliśmy na uwadze że pojęcie charytatywność i opiekuńczość w samych słowach wyraża działalność”. Sąd uzupełnienia przyjął. Warto podkreślić, że ta pomoc socjalna była realizowana zanim sieć stacji pomocy zorganizował na Mazurach Zakon Joannitów.

W Krutyni w dniach 15-17 października red. Tadeusz Willan, pochodzący z tej miejscowości, zorganizował I Rozmowy Mazurskie, podczas których nie tylko zaprezentował pierwszy numer miesięcznika „Masurische Storchenpost” (Mazurska Poczta Bociania), ale także powołał do życia Stowarzyszenie Mazurskie zrzeszające nie tylko osoby mniejszości niemieckiej, ale także polskich członków rodzin mieszanych (co zostało przyjęte negatywnie przez inne stowarzyszenia mniejszości niemieckiej). Stowarzyszenie Mazurskie zostało zarejestrowane tuż po Nowym Roku, 2 stycznia 1991 roku. Ciekawostką było, że już w lutym tego samego roku zostało przyjęte w poczet członków powstałej w 1949 roku Federalnej Unii Europejskich Grup Narodowościowych (FUEN).

Opisana powyżej aktywność Niemców mieszkających na Warmii i Mazurach w 1990 roku (czyli przed podpisaniem traktatu granicznego) pokazuje, jaka drzemała w nich ukryta dotychczas własna tożsamość narodowa, jaki entuzjazm do działania został wyzwolony z powiewem wolności i demokracji. Niektórzy działa-

li nawet w dwóch organizacjach, jak np. Dietmar Dombrowski, Alfred Czesla był wśród założycieli OSMN i Towarzystwa w Biskupcu, a 26 sierpnia 1991 roku współorganizował jeszcze Mrągowskie Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej i został nawet jego pierwszym przewodniczącym. 15 października 1991 roku nastąpiła jego rejestracja pod zmienioną nazwą Mrągowskie Stowarzyszenie Niemieckie miasta i rejonu Mrągowa, by ostatecznie przyjąć nazwę Mrągowskie Stowarzyszenie Ludności Niemieckiej „Niedźwiedzia Łapa”. W tym samym roku, 12 stycznia powstało Ostródzkie Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej „Jodły” zarejestrowane w kwietniu 1991 roku wraz z grupą z Olsztynka. Niemieckie Stowarzyszenie „Natangia” w Górowie Iławeckim zostało zarejestrowane 3 września, w tym samym miesiącu Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej „Warmia” w Lidzbarku Warmińskim (25.09), miesiąc później Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej Bartoszyce i Okolic. Dość częste zmiany nazw stowarzyszeń wynikały przede wszystkim z zastrzeżeń sądu, ale także z powtarzających się nazw samych stowarzyszeń, co mogło wprowadzić zamęt organizacyjny. Charakter zastrzeżeń sądowych najlepiej ukazuje procedura opisana przy rejestracji Stowarzyszenia „Hemmat” w Szczytnie.

Wiktor Marek Leyk

Powyższy tekst jest fragmentem książki „Trzydzieści lat z mniejszościami”, Edytor Wers, Olsztyn 2024

GAZETY, KTÓRE WYSZŁY NA CHWILĘ

Prawie wszyscy znają „Gazetę Olsztyńską”, wielu pamięta „Dziennik Pojezierza” i „Panoramę Północy”. Zaskoczyła mnie jednak znaleziona w Wikipedii lista gazet i czasopism Olsztyna, licząca ponad dwie setki. Wydawałoby się, że nie sposób do niej coś dodać, a jednak...

Pierwsza z tych nieznanych gazet z datą 2 stycznia 1978 roku ukazała się w olsztyńskim orbisowskim Novotelu. Naczelnym redaktorem mianował się Tadeusz Szczęśniewicz – tamtejszy specjalista do spraw BHP. Państwowe przedsiębiorstwo, zatrudniające ponad setkę pracowników musiało takowego posiadać. Nie mając zbyt wiele roboty, jako człowiek pracowity – sam sobie szukał zajęć. Założył więc koło Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, o które – z uwagi na młody wiek załogi – upominał się od pewnego czasu komitet wojewódzki PZPR.

Czemu nie założył jakiejś organizacji zwalczającej słusznie miniony ustrój? Otóż Novotel był nawiedzany przez tłumy przybyszów z Zachodu, a jako taki był pod troskliwą opieką „służb”. Jak bowiem powszechnie wiadomo, to w wytwornych orbisowskich hotelach imperialistyczni agenci korumpowali prawomyślnych obywateli PRL przy pomocy francuskich koniaków, szkockiej whisky i amerykańskich papierosów. Służba była więc zawsze na służbie i nie sposób, by się tu ukryła organizacja odstająca od linii partii i rządu.

Gazetka „Spinacz” posiadała poniżej tytułu informację, że jest to organ satyryczny miejscowego koła ZSMP, a powyżej motto „Prawdziwy krytyk cnoty się nie boi”. Po stronie tytułowej następowało pięć stron gęstego, choć nie monotonnego maszynopisu. Nakład, ograniczony liczbą kopii osiągalnych przy pisaniu na maszynie przez kalkę, wyniósł 5 egzemplarzy. Nic więc dziwnego, że cena egzemplarza ustalona została w drodze licytacji. Pierwszy nabył niżej podpisany za równowartość dwóch kilo masła czy piętnastu litrów benzyny. Entuzjazm redakcji wyczerpał się po trzech numerach.

Druga, to wydawana przez Wyższą Szkołę Informatyki i Ekonomii TWP gazeta „Sztuki Medialne” – czasopismo Sekcji Naukowej Dziennikarzy. Licząca 16 stron formatu około A-3, drukowana była w prawdziwej drukarni w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy. Redaktorem naczelnym był Józef Burniewicz, który dowodził studenckim zespołem redakcyjnym.

Nie poprzestając na studenckiej twórczości naczelny przywołał kilku autorów spoza uczelni. Znalazłem się w doborowym gronie wraz ze Zdzisławem Szymochą, Markiem Książkiem a także samym Józefem Burniewiczem, który zresztą nie ograniczając się do słowa pisanego, zamieszczał swoje znakomite rysunki.

Napisałem pierwszy felieton, biorąc się z entuzjazmem za kolejne. Czy wysłałem następny? Nie pamiętam. Nr 2 z marca-kwietnia 2010 roku jest jedynym, który posiadam, być może z końcem roku akademickiego zakończyła swą działalność Sekcja Naukowa Dziennikarzy? A może po prostu – w czasach gdy rozkwitała możliwość publikowania w internecie wszystkiego, co tylko kto chciał – zanikł popyt na kształcenie się w kierunku dziennikarskim?

Marek Turkowski

Od redaktora: Trochę jak przez mgłę pamiętam pismo „Sztuki Medialne” wydawane przez Sekcję Naukową Dziennikarzy pod wodzą Józefa Burniewicza. Nie bardzo pamiętam, jaki mój tekst w tym piśmie redaktor naczelny zamieścił, ale widocznie jakiś był, skoro pozostał tam do dzisiaj. W tym czasie, czyli w 2010 roku, dorabiałem w WSiIE TWP przy ul. Jagiellońskiej w Olsztynie, prowadząc ze studentami ćwiczenia z dziennikarstwa, które jako samodzielny kierunek niedługo jednak przetrwały. Studenci za nie płacili, a na UWM były bezpłatne.

Marek Książek

